

# Jan Nowak-Jeziorański – kurier z Warszawy i Waszyngtonu

**Mateusz Palka**

**Jan Nowak-Jeziorański (właśc. Zdzisław Antoni Jeziorański) to legendarny kurier z okresu II wojny światowej, który trzykrotnie przedzierał się z tajnymi materiałami z okupowanej Polski do Londynu. Po wojnie przez prawie ćwierć wieku kierował Rozgłosnią Polską Radia Wolna Europa z siedzibą w Monachium, a następnie był jednym z dyrektorów Kongresu Polonii Amerykańskiej oraz konsultantem Rady Bezpieczeństwa Narodowego USA. Nie będzie mógł przyjechać do ojczyzny przez 45 lat, nie będzie nawet wiedział, czy w ogóle zobaczy jeszcze kiedyś Polskę. Przez wiele lat uważany będzie za jednego z największych wrogów PRL. Wracając do Polski, powie z dumą, że ich pokolenie wykonało misję. Odchodzi, bo Polska zwyciężyła.**



"Bardzo byłem wtedy dumny, to było pierwsze wyjście po tym okresie rekruckim, kiedy wolno już było wychodzić" - zapamiętał podchorąży Jeziorański pobyt w Szkole Podchorążych Rezerwy Artylerii, Archiwum Jana Nowaka-Jeziorańskiego, Zakład Narodowy im. Ossolińskich

Urodził się 2 października 1914 roku w Berlinie. W warszawskim gimnazjum poznał swojego rówieśnika Jana Kwiatkowskiego, syna wicepremiera i ministra gospodarki, Eugeniusza Kwiatkowskiego. To on nakłonił Zdzisława na studia ekonomiczne w Poznaniu, u profesora Edwarda Taylora. Żeby sfinansować studia, musi sprzedać pamiątki po ojcu. Po ukończeniu studiów zostaje na uczelni – chce pracować naukowo, w planach ma wyjazd na stypendium za granicę. Od 1936 do 1937 roku odbywa roczną służbę wojskową w Szkole Podchorążych Rezerwy Artylerii we Włodzimierzu Wołyńskim. Następnie rozpoczyna pracę nad rozprawą doktorską Cykl koniunktury gospodarczej w Polsce 1929-1936, której kontynuację przerwała wojna.

Bierze udział w kampanii wrześniowej jako żołnierz 2. Dywizjonu Artylerii Konnej, trafia do niewoli niemieckiej, z której szczęśliwie udaje mu się wydostać. Po powrocie do Warszawy trudni się przez pierwsze miesiące handlem. Szybko jednak angażuje się w działalność w strukturach państwa podziemnego. Wstępuje do Związku Walki Zbrojnej/Armii Krajowej. Jego pierwszym zadaniem jest zorganizowanie na terenach okupowanych i III Rzeszy siatki Akcji „N”, w ramach której ukazywały się w języku niemieckim publikacje (broszury i gazetki) dezinformujące Niemców. Podważały wiarę Niemców w ostateczne zwycięstwo III Rzeszy i niszczyły morale żołnierzy Wehrmachtu. Liczne konspiracyjne wyjazdy wymagały posługiwania się dwiema fikcyjnymi tożsamościami: polskiego kolejarza albo niemieckiego kolejarza Ostbahnu. Po skontaktowaniu się ze związanymi z polskim podziemiem działaczami w Gdańsku i Gdyni, odkrył możliwości przemytu materiałów dla rządu emigracyjnego w Londynie drogą morską.

W 1943 roku powierzono mu kolejną misję: jako kurier Komendy Głównej AK miał dotrzeć do Szwecji i przekazać tam rezydentowi polskiego rządu materiały dotyczące sytuacji w okupowanej Polsce. Udając robotnika portowego, dostał się na statek i odbył wyczerpującą kilkudziesięciogodzinną podróż w luku węglowym. Wiezione materiały miał ukryte w specjalnym kluczu, ołówku i figurce św. Antoniego. Gdy wracał, na dworcach kolejowych w kraju porozwieszane były już plakaty z listem gończym i jego podobizną. Udało mu się jednak uniknąć dekonspiracji.

Kolejnym zadaniem, jakie otrzymał, była wyprawa do Londynu. Tym razem miał przekazać informacje z kraju bezpośrednio najwyższym władzom RP na uchodźstwie i odbyć rozmowy z przedstawicielami

władz angielskich, w których miał przekonywać o konieczności udzielenia Polsce pomocy. Na potrzeby tej misji przyjął konspiracyjne imię i nazwisko „Jan Nowak”, pod którymi przeszedł do historii. W Londynie spotkał się m.in. z prezydentem Władysławem Raczkiewiczem, naczelnym wodzem Kazimierzem Sosnkowskim i premierem Stanisławem Mikołajczykiem, a ze strony brytyjskiej z Ministrem Spraw Zagranicznych Anthonym Edenem oraz z premierem Winstonem Churchillem. Miał ich przekonać, że Polska potrzebuje militarnego i politycznego wsparcia.

Do kraju wrócił drogą przez Włochy w lipcu 1944 roku i zdał szczegółową relację ze swojej misji Komendantowi Głównemu Armii Krajowej Tadeuszowi Bór-Komorowskiemu. Miesiąc później wybuchło powstanie warszawskie. Jeziorański pracował w radiostacji „Błyskawica”, która nadawała codzienne audycje dla powstańców i meldunki do Londynu. Na budynek radia spadła bomba, przebiła dach i kilka pięter, ale nie wybuchła. „Pan Bóg chyba jest Polakiem” – mówi Nowak. We wrześniu, w zrujnowanym kościele, wziął ślub z łączniczką „Gretą”, Jadwigą Wolską. Obrączki udało im się zdobyć za puszkę konserw, kwiaty Nowak zabrał z balkonu pobliskiej kamienicy. Po upadku powstania wyruszył z żoną w trzecią misję kurierską do Londynu, aby dostarczyć aliantom informacji o sytuacji w Polsce. Po latach Nowak powie: „Każda moja wyprawa, a licząc oba kierunki, tam i z powrotem, było ich w sumie pięć – stanowiła owoc zabiegów, żmudnych wysiłków i pomysowości bardzo wielu zapomnianych dziś ludzi. Kilku, torując mi drogę, przypłaciło to życiem, inni więzieniem”. Po zakończeniu wojny pozostał na emigracji.

W roku 1948 podjął pracę w redakcji polskiej BBC w Londynie, publikował broszury poświęcone powstaniu warszawskiemu i przygotowywał cykl audycji Świadkowie historii o działalności Polskiego Państwa Podziemnego. W 1951 roku otrzymał od Amerykanów propozycję objęcia stanowiska dyrektora Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa. Rozgłośnia stała się podstawowym źródłem niezależnej informacji dla kraju, w którym o zawartości gazet decyduje wszechobecna cenzura. 3 maja 1952 roku, inaugurując działalność stacji, Nowak-Jeziorański mówi do słuchaczy w Polsce: „Będziemy mówili wam prawdę o wypadkach rozgrywających się w świecie, którą sowiecki reżim chce przed wami ukryć, by zabić w was resztki nadziei”. Władze komunistyczne systematycznie zagłuszały nadawane audycje. Wpływ RWE na rozwój wypadków w Polsce był ogromny. Nadawane od 1954 relacje byłego wysokiego funkcjonariusza bezpieczeństwa – Józefa Światły, który zbiegł do USA, obnażyły najciemniejszą stronę rządów PRL i doprowadziły do zwolnienia wielu więźniów politycznych oraz degradacji najbardziej skompromitowanych polityków.

W roku 1956 RWE szeroko informowało o krwawym stłumieniu protestów robotniczych w Poznaniu, jednocześnie jednak hamowało gorące nastroje w kraju, by nie dopuścić do walk na wielką skalę. Radio nawoływało również o amnestię tysięcy Polaków wciąż przetrzymywanych w ZSRR. Dzięki rozgłośni miliony Polaków dowiedziały się w 1970 o masakrze robotników na wybrzeżu.

Po zakończeniu pracy w RWE wyjechał do Stanów Zjednoczonych, gdzie od 1977 działał jako jeden z dyrektorów krajowych Kongresu Polonii Amerykańskiej. Został także konsultantem Rady Bezpieczeństwa Narodowego USA, dzięki czemu miał dostęp do czterech kolejnych prezydentów amerykańskich: Jimmy’ego Cartera, Ronalda Reagana, George Busha i Billa Clintona. Wywarł dzięki temu znaczący wpływ na przyjęcie Polski do struktur NATO i Unii Europejskiej. W memoriałach, które trafiają do amerykańskich polityków, przekonuje, że dla Polski, która była członkiem koalicji antyhitlerowskiej, a mimo to w wyniku decyzji podjętej w Jałcie przez wielkie mocarstwa nie odzyskała suwerenności, wojna wciąż trwa. Skończy się dopiero wtedy, gdy jego ojczyzna odzyska niepodległość.

Jan Nowak-Jeziorański zabiegał w Waszyngtonie o pieniądze i sprzęt dla solidarnościowego podziemia. Mówił, że nawet podczas spotkania z prezydentem Stanów Zjednoczonych, na pytanie „Kto za panem stoi?” może z dumą odpowiedzieć: „Stoi za mną 10 milionów Amerykanów polskiego pochodzenia”. Kiedy w grudniu 1980 roku realna staje się groźba wkroczenia do Polski Armii Radzieckiej, na prośbę Zbigniewa Brzezińskiego i Amerykanów przekazał informacje przywódcom „Solidarności”.

Ambasador USA w Polsce Nicholas Rey wspominał, że Nowak-Jeziorański był wówczas jedną z najbardziej wpływowych osób w Waszyngtonie. Miał prawo parkować swojego golfa na małej uliczce w pobliżu Białego Domu, gdzie mieści się najwyżej dwadzieścia samochodów: „W Waszyngtonie to najbardziej oczywisty przedpokój władzy. To najlepszy dowód skali wpływów Jana”.



Drużyna Harcerska im. ks. Józefa Poniatowskiego. Obóz wędrowny w Szczawnicy, 1930.  
Czwarty od prawej - Zdzisław Jeziorański, za nim Ryszard Matuszewski, na końcu Jan Kott,  
Archiwum Jana Nowaka-Jeziorańskiego, Zakład Narodowy im. Ossolińskich

W 1989 roku dochodzi w Polsce najpierw do porozumienia władz i opozycji przy Okrągłym Stole, a w czerwcu do nie w pełni jeszcze wolnych wyborów, w których tryumfują kandydaci „Solidarności”. Po blisko 45 latach nieobecności, 29 sierpnia 1989 roku Jan Nowak-Jeziorański przyjeżdża do Polski. Przewodniczący Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego Bronisław Geremek mówi w Sejmie: „Dzięki temu, że on był tam, my jesteśmy tutaj”.

Ale rok 1989 nie przyniósł koniec walki o wolność. Jan Nowak-Jeziorański uważał, że warunkiem bezpieczeństwa Polski jest przyjęcie jej do NATO, a warunkiem rozwoju gospodarczego - członkostwo w Unii Europejskiej. Dzielił czas między Polskę, gdzie przyjeżdżał coraz częściej, i Waszyngton, gdzie toczyła się gra o członkostwo Polski w Pakcie Północnoatlantyckim. Były ambasador USA w Polsce Daniel Fried wspominał, że początkowo w administracji amerykańskiej prawie nikt nie popierał planu rozszerzenia NATO. Jeziorański przekonywał, że wolna i demokratyczna Polska w Pakcie jest w interesie Stanów Zjednoczonych. Kiedy 30 kwietnia 1998 roku Senat USA zdecydował o rozszerzeniu

NATO, mówi: „To najpiękniejszy dzień mojego życia”.

W 1994 roku Jan Nowak-Jeziorański otrzymał od prezydenta Lecha Wałęsy najwyższe i najstarsze polskie odznaczenie, Order Orła Białego, w 1995 został członkiem Rady Kuratorów Zakładu Narodowego im. Ossolińskich. W kolejnych latach przekazywał Ossolineum swoje archiwa i zbiory, w roku 2000 został honorowym obywatelem Wrocławia. Na stałe wrócił do Polski w 2002 roku, po śmierci żony. Wyjeżdżającego żegnał prezydent USA George W. Bush.

Do wypełnienia pozostała mu jeszcze druga część planu, czyli zapewnienie Polsce członkostwa w Unii Europejskiej. Swą walkę o wolną, suwerenną i bezpieczną Polskę prowadził do końca. Przekonywał Polaków do głosowania na „tak” w referendum decydującym o wstąpieniu Polski do Unii Europejskiej 7–8 czerwca 2003 roku. Sam pojawił się w komisji wyborczej już o 6.00 rano, opuszczając na ten dzień szpital. 1 maja 2004 roku Polska została członkiem UE.

Jan Nowak-Jeziorański zmarł w nocy z 20 na 21 stycznia 2005.

„Gdyby nie urodził się za wcześnie... Miał z pewnością najlepsze predyspozycje, by być prezydentem Polski” – napisał jeden z jego współpracowników z RWE.

### **Zbiory Jana Nowaka-Jeziorańskiego w Ossolineum**

W kolejnych domach, w których mieszkali Jadwiga i Jan Nowakowie-Jeziorańscy: w Monachium, Pass Thurn, Annandale, starali się odtworzyć atmosferę utraconej Polski. „Po Jałcie wyobrażaliśmy sobie z żoną, że nigdy więcej Polski nie zobaczymy. Postanowiliśmy urządzić na obczyźnie jakby namiastkę domu ojczystego. Zaczęliśmy zbierać polonika” – mówił Jan Nowak-Jeziorański. Kupowane przez niego dzieła sztuki, malarstwo, grafiki, numizmaty i pamiątki historyczne miały przywoływać klimat polskiego dworku. Polakami byli artyści, których prace kupował, z Polską związana była tematyka ich dzieł. Do najcenniejszych należą obrazy: Utopiona w Bosforze Jana Matejki, Wesoły kwaterunek Józefa Brandta, Róże Leona Wyczółkowskiego, a także prace Juliana Fałata – Okolice Bystrej oraz Upolowany niedźwiedź na saniach. Oprócz tego akwarele i rysunki Cypriana Kamila Norwida i Józefa Czapskiego oraz prace o tematyce historycznej, wśród nich Fredro pod Smoleńskiem w 1633 roku Juliusza Kossaka czy Scena z powstania 1863 roku Antoniego Piotrowskiego.

W sporządzonym w 2004 r. testamencie Jan Nowak-Jeziorański przekazał swoje archiwum i gromadzone przez całe życie zbiory Zakładowi Narodowemu im. Ossolińskich. Na kolekcję Jana i Jadwigi Nowaków-Jeziorańskich składa się około dwustu obrazów, akwarel, rysunków, miniatur i grafik, przeszło 250 sztuk broni, sreber, szkła, porcelany i tkanin, ponad 200 medali i odznaczeń oraz wiele innych obiektów. Kolekcja numizmatów to ponad 900 monet polskich, 116 monet obcych oraz 163 banknoty polskie i obce. Zbiór obejmuje ponadto kilkadziesiąt starodruków i książek wydanych od XVI do XIX wieku. Wśród nich pierwsze łacińskie wydanie dzieła Marcina Kromera *De origine et rebus gestis Polonorum libri XXX* (O pochodzeniu i czynach Polaków ksiąg trzydzieści) z 1555 roku.

Przekazany Ossolineum dar to także bogata kolekcja rękopisów i archiwaliów dokumentujących działalność wojenną fundatora: materiały dotyczące jego wypraw kurierskich oraz Akcji „N”. W skład archiwum wchodzi ponadto materiały z okresu pracy Nowaka-Jeziorańskiego w Rozgłośni Polskiej RWE, m.in. obszerne zbiory korespondencji z najważniejszymi postaciami powojennej emigracji, m.in. z Jerzym Giedroyciem, Witoldem Gombrowiczem, Kazimierzem Wierzyńskim czy Gustawem Herlingiem-Grudzińskim.

Tak kilka dni przed wybuchem drugiej wojny światowej i pierwsze tygodnie walk oraz niewoli jenieckiej wspominał Jan Nowak-Jeziorański w autobiografii *Kurier z Warszawy* (Kraków 2005, s. 21, 22-33):

„W końcu sierpnia 1939, w momencie gdy z wezwaniem mobilizacyjnym w kieszeni zamykałem na klucz szufladę, na której dnie spoczywały pierwsze rozdziały pracy doktorskiej „Cykl koniunktury gospodarczej w Polsce 1929-1936”, i opuszczałem dawny budynek Raiffeisena, mieszczący Seminarium Ekonomiczne, nie przyszło mi w ogóle na myśl, że to na zawsze i że ten rozdział życia zapowiadający się tak obiecująco nie będzie miał w ogóle dalszego ciągu. Owszem, odczuwało się przyjemne podniecenie na myśl o tym, co się zbliża, ale miał to być tylko krótszy albo dłuższy burzliwy epizod, po którym wszystko wróci na dawne tory i przerwany bieg życia będzie można podjąć dalej. Z profesorem żegnałem się jak przed wyjazdem na ćwiczenia wojskowe.

W pociągu Poznań-Warszawa i w samej stolicy panowało prawie radosne podniecenie. Miałem dosyć czasu, by zatrzymać się na jeden dzień w Warszawie, pożegnać się z matką, babką i bratem. Wszyscy byli dobrej myśli, nikt się nie martwił. Zaszedłem do pałacu Myślewickiego w Łazienkach, gdzie mieszkał ówczesny wicepremier i minister Skarbu – Eugeniusz Kwiatkowski. Jego syn Jontek, student ostatniego roku Politechniki, odbywał właśnie służbę w 1. Pułku Artylerii Najcięższej w Górze Kalwarii. Był także w domu na przepustce.

Ku memu zdziwieniu nastrój Wicepremiera, którego zaraźliwy entuzjazm szedł zawsze w parze z radosnym optymizmem – tym razem odbiegał od ogólnej atmosfery i sloganów oficjalnej propagandy, w rodzaju: „swego nie damy – napastnika odeprzemy”.

Kwiatkowski mówił zwykle chętnie i dużo, ale zawsze uważał, by nie zdradzić tajemnic państwowych. Tym razem zaskoczył otwartością, z jaką oceniał sytuację.

– Jeżeli dojdzie do agresji – mówił – pierwsze tygodnie będą ciężkie. Utracimy znaczną część terytorium, zanim nas odciąży ofensywa na zachodzie. Chodzi głównie o to, by wokół napaści na Polskę rozpętać taniec ogólnoeuropejski. Lepiej znaleźć się w położeniu Belgii w roku 1914 niż Czechosłowacji w 1938. Na dłuższą metę Niemcy nie wytrzymają naporu Anglii i Francji wspartych potęgą przemysłową Stanów Zjednoczonych.

– Czy to znaczy, że nasze własne szanse obronne przedstawiają się nie najlepiej – zapytałem nieśmiało, niepewny, czy w ogóle dostanę odpowiedź.

– Stanu uzbrojenia armii nie znam – przyznał otwarcie Kwiatkowski – bo wojsko ze zrozumiałych względów trzyma te rzeczy w tajemnicy nawet przed rządem. Nie musi być najgorszy, skoro Inspektorat Sił Zbrojnych pozwala na wywóz sprzętu wojennego krajowej produkcji. Ale potencjał naszego przemysłu zbrojeniowego nie wytrzymuje żadnego porównania z niemieckim. COP znajduje się dopiero w powijakach [...].

[...]

Kiedy w stopniu plutonowego podchorążego meldowałem się w Dubnie, 2. Dywizjon Artylerii Konnej (DAK) zajmował już bojowe stanowisko gdzieś niedaleko Częstochowy – na wprost granicy niemieckiej. W opustoszałych koszarach gromadzono przybywających rezerwistów. Gdy w piątek 1 września 1939 jak zawsze wyszedłem wczesnym rankiem na śniadanie do kasyna – ujrzałem biegnącego naprzeciw pchor. Moczulskiego. Już z dala, wymachując rękoma, wołał do mnie radośnie: „zaczęło się... wojna... zaczęło się o piątej rano!”

Nikt z nas nie zdawał sobie sprawy, że w tym momencie przekraczamy próg, który przecina życie na dwoje, zamykając powrót do wszystkiego, co było dotychczas. Krótco trwał nastrój radosnego podniecenia rozbudzonego myślą, że historia znowu puka do drzwi, a wypadki wciągają w wir wielkich przeżyć. Trzy dni włókł się bombardowany przez Luftwaffe transport wojskowy, zanim znaleźliśmy się w ośrodku zapasowym artylerii konnej w Zamościu. Stare forty i koszary ledwie mogły pomieścić około 700 rezerwistów ściągniętych z całego kraju. Ośrodek miał tylko dwa działa, nie było więc mowy o żadnych ćwiczeniach i sposobieniu się do walki. Skazani na przymusową bezczynność oglądaliśmy jako bierni widzowie koszmar następnych dni. W czasie nalotów ludność i żołnierze szukają w panice

schronienia w fortach, gdzie prócz bomb grozi dodatkowo zawalenie starych stropów. Są pierwsze ofiary w naszym gronie. Patrzymy na nie kończące się kolumny uchodźców z wojska, rządowe limuzyny uchodzących z Warszawy dygnitarzy, konwoje ewakuowanych ze stolicy urzędników i resortów. Wieści o zajęciu Katowic, Poznania, Krakowa, Łodzi spadają jedna za drugą tak szybko, że pogrążają nas w stan jakiegoś odrętwienia.



W styczniu 1944 roku ppor. Jan Nowak otrzymał z rąk Naczelnego Wodza Polskich Sił Zbrojnych gen. Kazimierza Sosnkowskiego Order Virtuti Militari, fot. Czesław Datka, Archiwum Jana Nowaka-Jeziorańskiego, Zakład Narodowy im. Ossolińskich

Jak w złym chaotycznym śnie gubimy rachubę czasu i nie pomnę już, w którym dniu dotarła wiadomość, że Niemcy przekroczyli Wisłę i zbliżają się od Zamościa z dwóch kierunków: od zachodu i południa.

Zaczynamy się burzyć. Czy mamy tu czekać, aż nas jak barany wezmą na powrozy i popędzą do niewoli? Żeby chociaż była broń i dało się zorganizować jakiś opór!

W końcu zapadła decyzja ewakuowania Ośrodka. Oczywiście pieszą kolumną, bo żadnych środków lokomocji nie mamy. Jaki taki ład organizacyjny uległ zupełnie rozprzężeniu, gdy tylko kolumna marszowa wyszła za miasto. Główna droga na Hrubieszów zalana była uciekinierami wędrującymi pieszo, na wozach, na rowerach. Przez bezładny, pieszy tłum usiłują przedzierać się zorganizowane oddziały wojska wycofywane w kierunku wschodnim. Staje się oczywiste, że w tym chaosie zapasowy Ośrodek wkrótce przestanie istnieć jako zorganizowana jednostka.

Ktoś z grupki najbliższych kolegów wysuwa własny plan. O kilka kilometrów znajduje się majątek jego ojca. Dostaniemy tam wóz i dobre konie. Boczными drogami łatwiej będzie przedostać się nad Bug.

Jeżeli rzeczywiście, jak twierdzi dowództwo Ośrodka, organizuje się tam jakaś linia oporu – zgłosimy się po przydział do pierwszego napotkanego oddziału. A jeśli to bujda, będziemy się pchali w kierunku granicy węgierskiej albo rumuńskiej. Byle nie dostać się do niewoli bez oddania choćby jednego strzału. Nie namyślamy się długo. Już następnego ranka z dworu państwa G. wozem zaprzężonym w dwa najlepsze konie ruszamy polnymi drogami w stronę najbliższego mostu na Bugu. Na chwilę wraca dobry nastrój. Wydaje nam się, że przeżywamy rozdziały Ogniem i mieczem, kiedy to Zagłoba przedzierał się z Halszką przez kraj zalany pożarem wojny kozackiej. Na drugą stronę Bugu przedostajemy się przez most nad Uściługiem. Znamy te strony doskonale z czasów służby w podchorążówce w pobliskim Włodzimierzu. Wiadomości o próbach zorganizowania jakiegoś oporu na linii rzeki nie były, jak się okazało, całkowicie wyssane z palca. Po obu stronach mostu widać zamaskowane gniazda karabinów maszynowych. Domy wzdłuż rzeki obsadzone sporą ilością wojska. - Na głównej drodze przecinającej miasteczko widać było działa ustawione na stanowiskach ogniowych do strzelania na wprost, w kierunku mostu. Meldujemy się pierwszemu napotkanemu oficerowi, który prowadzi nas do pułkownika Józefa Zawiaślaka. O ile mogliśmy się zorientować, organizował on grupę operacyjną na własną rękę. Robił to w ten sposób, że zatrzymywał na moście uzbrojone oddziały wycofujące się na wschód i, jeśli nie miały wyraźnego przeznaczenia i przydziału brał je z miejsca pod swoją komendę, każąc zajmować wyznaczone stanowiska.

– Zamelduję się u kapitana Herdegena – rozkazał krótko Zawiaślak po wysłuchaniu naszego meldunku. Ucieszyłem się usłyszawszy to nazwisko. Witold Herdegen był oficerem artylerii konnej. Nie pamiętam, czy poznałem go w DAK-u czy jeszcze we Włodzimierzu.

Herdegen objaśnił nam krótko sytuację. Dysponuje sześcioma działami i ma pełną obsadę sześciu działonów. Jesteśmy mu potrzebni jako rezerwa na wypadek strat w ludziach pierwszego rzutu. Działa rozmieszczone są wzdłuż rzeki i dwa przed kościołem. Ukształtowanie terenu jest w tym miejscu wyjątkowo dogodny dla obrony: wschodni brzeg rzeki, prostopadle spadzisty, wznosi się o dobre kilkanaście metrów nad równiną na zachód od Bugu. Widać stąd jak na dłoni rozległą połąć kraju ciągnącą się daleko aż po linię lasu.

– Długo im się nie oprzemy – mówi Herdegen – ale strzelając ogniem na wprost wyrządzimy duże szkody. Oficerów i żołnierzy możemy mieć, ilu chcemy. Wystarczy wysłać żandarmów na drogę i zatrzymać. Brakuje dział, sprzętu i amunicji. Nie mam nawet porządnej lornetki.

Fala uciekinierów i wojska płynąca przez most na Bugu przez całą noc urywa się nagle. W dole, na drodze zupełna pustka. W końcu ukazuje się z dła polski samochód pancerny, przed nim na motocyklu dwóch rozbrojonych Niemców w hełmach. Pierwszy raz oglądamy niemieckich jeńców. Wpadli w ręce naszej wysuniętej czujki. Przesłuchuje ich natychmiast sam Zawiaślak. Są Austriakami ze zmotoryzowanej dywizji z Wiednia. Dywizja posuwa się w kierunku Bugu, nie oczekując tam oporu. Rozpoznanie lotnicze przekazało tylko meldunki, że mosty są nienaruszone, drogi zapchane przez uchodźców. Wkrótce wracają inne nasze czujki i oddziały zwiadowcze. Wszystkie meldują zbliżanie się nieprzyjaciela w kilku kolumnach samochodowych posuwających się w kierunku Uściług.

Piętnastego września około 9 rano, pojawiają się w dużej odległości niemieckie kolumny samochodów transportowych – jak zapowiedziano – z kilku kierunków. Herdegen obserwuje przedpole przez przedpotopową lornetkę, którą poprzedniego dnia zabraliśmy jakiemuś gajowemu z tłumu uciekinierów. Widać przez nią samochody pokryte ciemnym brezentem i ciągniki z lekkimi działami. Na razie Uściług milczy. Dopiero gdy czoło kolumny zbliżyło się na odległość kilometra, zaczynają grać ciężkie karabiny maszynowe. Równocześnie odzywa się telefon polowy: otwierajcie ogień na wprost. Trafić ogniem na wprost na odległość tysiąca metrów to nie sztuka. Prawie każdy pocisk trafia w cel. Niemieckie samochody rozlatują się jak pudełka zapalek. Kolumna zatrzymuje się. Niemcy wysypują się z wozów na prawo i lewo, rozpraszając się w polu. Ciągniki z działami zjeżdżają z drogi, usiłują zawrócić pętlą w polu, nie odprzodkowują, lecz jadą polami do tyłu w poszukiwaniu zasłony. Dwa czy trzy utknęły w rowach przydrożnych. Bierzymy je natychmiast na cel. Wybuch pocisku unieruchamia na dobre jeden

za drugim. Po dziesięciu minutach odzywa się artyleria niemiecka. Pociski nie biją w ziemię – rozrywają się o kilka metrów nad nami. Niemcy strzelają więc na razie szrapnelami na rozprysk, które są niebezpieczne tylko dla celów żywych.

Moja skromna wiedza wojskowa wyniesiona z podchorążówki wystarcza, by zorientować się, że zabawa nie potrwa długo. Wprawdzie nasze działa są dobrze zamaskowane, amunicja schowana w ziemiankach, ale przy strzelaniu na wprost błysk zdradza stanowisko ogniowe. Z chwilą gdy wejdzie do akcji artyleria ciężka, wykończą nas w ciągu kilku minut. Żeby chociaż więcej było naszych dział – można by im zgotować solidne pranie ogniem pośrednim, jak się należy, spoza zasłony. Na razie nie przejmujemy się szrapnelami i rozwalamy niemieckie samochody jeden za drugim. Są zresztą puste – piechota szeroko rozproszona w polu. Nasz celowniczy dostaje szrapnelem w plecy. Zabierają go jęczącego i krwawiącego na punkt opatrunkowy na tyłach. Jego miejsce zajmuje natychmiast podchorąży z naszej gromadki. Po chwili Herdegen zbliża się do mnie.

– Panie podchorąży, nasze działo po drugiej stronie Ługu milczy od czterdziestu pięciu minut. Może dostali po głowie, a może uciekli. Weźmie pan ze sobą czterech ludzi, pójdzie pan do nich, zobaczy, co się z nimi stało. Jeżeli ludzi nie ma – uruchomi pan działo. Amunicji powinno być na miejscu dosyć. I jeszcze jedno. Niech się pan nie waży iść brzegiem rzeki. Obejdzie pan miejscowość od tyłu.

Uliczki Uściługu, na razie wciąż ostrzeliwanego tylko szrapnelami, były zupełnie opustoszałe. Ludzie pochowali się, gdzie mogli: w piwniczkach i ziemiankach. Tylko kilka chłopskich koni, oszalałych z przerażenia, galopowało z jednego końca ulicy na drugi. Po ich zadach i bokach ciekły wąskie strumyki krwi od ran zadanych szrapnelami.

Uściług wziął swoją nazwę od ujścia rzeczki Ług, która na południowym krańcu miejscowości dość głębokim wąwozem spływa do Bugu. W niewielkiej odległości, po drugiej stronie Ługu, ciągnął się wzdłuż urwistego brzegu rzeki rząd zabudowań chłopskich. Tam właśnie mieliśmy dotrzeć. Obchodzimy szerokim kołem opustoszałe miasteczko, jak przykazał Herdegen, przedostajemy się przez wąwóz i przez rzeczkę zaroślami przechodzącymi chwilami w gęsto zadrzewiony teren i zmierzamy w kierunku przysiółka. Zatrzymujemy się na skraju niewielkiego gaju. Od chałup, gdzie ma się znajdować nasz dział, oddziela nas rozległe rżysko. W tym momencie jeden z żołnierzy woła z przerażeniem:

– Panie podchorąży – Niemcy! Pokazuje w lewo, gdzie w odległości około pięciuset metrów od nas droga przecina pole łagodnie pochylone w stronę wąwozu. Nic nie widzę.

– Przyśniło wam się czy co! – krzyczę. – Tu nie ma żadnych Niemców. Inni jednak potakują. Przed chwilą widzieli za drogą kilka hełmów. Tam musi leżeć jakiś oddział. Postanawiam odczekać kilka minut. Zaczyna mnie zastanawiać cisza w zagrodach o sto kroków przed nami. Tam był nie tylko nasz dział, ale sporo ilość wojska. Skąd ta cisza?

Po kilku minutach jestem zdecydowany. Nie będę tolerował tchórzostwa. Wyciągam z futerału mojego waltera i mówię stanowczo: – Żadnych Niemców tu nie ma. Zdawało wam się. Skaczemy przez pole. Biegiem za mną!

Wybiegam z zarośli, nie oglądając się, pewny, że pociągnę za sobą tamtych czterech. Jestem już w połowie pola – żaden z żołnierzy nie ruszył się. W tym samym momencie słyszę koło uszu bzyknięcie jedno, drugie, trzecie. Rzucam spojrzenie w lewo – tam daleko za drogą podnosi się z pola niemiecka tyraliera. Biegnę w kierunku najbliższej zagrody. Byle dopaść do zabudowań. Jeszcze tylko kilkadziesiąt metrów. Kule biją w pole dookoła, wyrzucając w powietrze pył zeschniętej ziemi. Nietknięty dopadał płotu i przesadam go z rozmachem sportowca, którym nigdy w życiu nie byłem. Jestem na podwórzu chłopskiej zagrody. Nie mam sekundy do stracenia. Bez chwili namysłu daję nura w stertę, a raczej w sporą kupę słomy w kącie podwórza, gdzie mur styka się z chałupą. Jeszcze nie zdążyłem się dobrze zagrzebać, a już Niemcy są na podwórzu. Nie widzą mnie, więc pędzą dalej w pościgu za żołnierzem,



który przed minutą przebiegł im przez pole. Jeden z nich, biegnąc, następuje na moją stertę. Czuję na piersi ciężar żołnierskiego buta.



Podczas przygotowań do powrotu do kraju po wypełnieniu drugiej misji kurierskiej, Szkocja, wiosna 1944, Archiwum Jana Nowaka-Jeziorańskiego, Zakład Narodowy im. Ossolińskich

Robi się na chwilę pusto, lecz po kwadransie znowu słyszę niemieckie głosy. Są z powrotem na podwórzu, ale tym razem to już nie pościg. Nic nie widzę, ale z gorączkowych słów komendy zaczynam domyślać się, że w odległości kilkunastu kroków ode mnie Niemcy montują gniazdo cekaemu. Po paru minutach rozlegają się odgłosy długich serii. Z drugiej strony Ługu przychodzi natychmiastowa odpowiedź. Aha, nasi nie dali się jednak zaskoczyć.

Usiłuję odtworzyć sobie, co zaszło. Niemcy poprzestali z początku na artyleryjskim ostrzeliwaniu Uściługu z przodu, a równocześnie przrzucili pewno most pontonowy o kilka czy kilkanaście kilometrów na południe od miasteczka, by odejść nas z flanki. Nasi, którzy tu siedzieli, musieli się zorientować, że idzie na nich duża siła i postanowili wycofać się do miasteczka za wąwóz i za rzeczkę Ług, skąd łatwiej było się bronić. Nastąpiło to zapewne w tym samym czasie, gdy ja – zgodnie z rozkazem – obchodziłem mięscinę od tyłu. Prawdopodobnie po wzajemnej wymianie ognia Niemcy pójdą przez wąwóz dalej, by wyprzeć na z Uściługu i zabezpieczyć sobie przeprawę przez Bug. Na razie podwórze wciąż jest ich pełne.

Zaczynam rozmyślać nad możliwością ucieczki. Postanawiam przetrwać w tej pozycji do zmroku. Pod osłoną nocy może mi się uda przeczołgać w zarośla i wrócić do naszych do Uściługu. Można także próbować przedostać się do Włodzimierza.

Po kilku godzinach niemieckie głosy oddalają się. Cekaem przesunięto gdzie indziej. Niestety, pod

wieczór Niemcy wracają. Nad słuchuję, co to ma znaczyć, i zaczynam klnąć w duchu. Będą nocować tu, w chałupie i w stodole. Że też nie mogli sobie znaleźć innego miejsca. Ucieczka nie będzie łatwa.

Zmierzch już zapada. Nagle słyszę żołnierskie kroki zbliżające się wprost ku mojej kryjówce. Niemiec, prawie dotykając mnie, zagarnia oburącz sporą naręcz słomy i odchodzi. Nie ma teraz sekundy do stracenia. Szkopy przygotowują sobie podściółki do spania. Zaraz przyjdzie następny. Jeżeli będę uciekał przez podwórze, zostanę niechybnie zastrzelony na miejscu. Jedyne wyjście to skok przez mur.

Przypominam sobie, że rano skakał przez ten mur – co prawda z rozpędu – Niemiec, który mnie ścigał. Usiłuję sobie przypomnieć, jak wysoka jest przeszkoda, gdy nagle mam szkopa znowu nad sobą. Chce zagarnąć słomę i natrafia na mnie rękoma. Wrzask przerażenia. Odpychając go z całej siły, wyskakuję ze sterty i skaczę w górę, usiłując chwycić się rękami krawędzi muru. Nie udaje się, mur jest za wysoki. Upadam na wznak. W okamgnieniu mam na sobie siedzących okrakiem Niemców, którzy drą się wniebogłosy. Z chałupy wysypują się inni i biegną na pomoc. Przygniatają mi ciężko nogi i ręce do ziemi. Krzyczą wściekle jeden przez drugiego, dostaję kopniaka w bok butem, od czego tracę na chwilę oddech, jestem pewny, że za chwilę zdeptają mnie albo zastrzelą. Otrząsnąwszy się z zaskoczenia i przerażenia, Niemcy, a raczej Austriacy, podnoszą mnie z ziemi i prowadzą do chałupy. Zabrano mi oczywiście rewolwer i wszystkie kieszenie opróżniono. Mniejsza o rewolwer, żal zegarka – pocziwej starej, srebrnej omegi, wielkiej „cebuli”, która była pamiątką po ojcu.

[...]

Było już widno, gdy przechodziła obok grupa niemieckich żołnierzy. Zauważyli jeńca. Jeden z nich zatrzymał się nade mną i, nie odzywając się, wskazał palcem na moje ostrogi. Brutalnym, rozkazującym gestem kazał mi je zdjąć i podać sobie. Powoli, niechętnie rozluźniałem skórzane rzemyki.

– Schnell! – wrzasnął.

Zdawało mi się, jakby mnie kto po twarzy batem przejechał. Dopiero teraz uświadomiłem sobie całe poniżenie niewoli. Właściwie nie było już po co żyć! Mocarstwo runęło w ciągu kilku dni jak domek z kart. Po jednym dniu na froncie jestem już w niewoli. Zapadłem w stan przygnębienia i zobojętnienia, z którego wyrwał mnie jakiś dziwny ruch dookoła. Niemcy, nie wyłączając strzegącego mnie wartownika, pokrzykując na siebie wzajemnie, zaczęli pryskać w pole. Zostałem sam, siedząc nad rowem obok niemieckiej ciężarówki. Z góry dochodziło dobrze już znane brzęczenie motorów. Podniosłem w górę głowę. Od południa zbliżał się formacja bombowców. Ten widok i odgłos stał się już tak codzienny i powszedni, że przestał zwracać uwagę. Ale dlaczego Niemcy uciekają? Ach, to nasze pocziwe polskie „łosie”.

Przez tyle dni wypatrywałem choćby jednego polskiego bombowca na pogodnym wrześnieym niebie. I oto doczekałem się ich poniewczasie. Posypią się zaraz bomby. Za późno, nic mi nie zależy na życiu, najwyżej zginę. Nie warto w ogóle ruszać się z tego miejsca. Ejże, przychodzi nagle refleksja: mam zginąć od polskiej bomby?

Podnoszę się z ziemi niechętnie, bez pośpiechu. Przebiegłszy kilkadziesiąt kroków w kierunku pola, słyszę tuż za sobą charakterystyczny świst. Nie zdążyłem upaść. Potężny podmuch pchnął mnie o dobre pięć metrów i rzucił na ziemię. Następuje długa seria wybuchów i cisza. Wstaję i oglądam się za siebie. Dokładnie w tym miejscu, gdzie siedziałem – lej głębokości dwóch metrów. Z mojego koca pozostało kilkanaście strzępów porzrzucanych wokoło. Samochód przewrócony na bok, zgnieciony, jakby go ktoś olbrzymim, ciężkim butem przygniół do ziemi. Krwawa miazga pozostałaby ze mnie, gdyby nie odruch, który w ostatniej sekundzie wyrwał mnie z apatii.

Słychać już wokół jęki. Bomby nie były zbyt celne, ale kilka trafiło jednak w wozy, w których spali żołnierze. Wyciągają trupy i rannych, układają ich obok siebie wzdłuż drogi. Przyjeżdżają wozy ze znakami Czerwonego Krzyża i jakiś łazik, który mnie zabiera.

Z nastroju skrajnej depresji wyrывa mnie drobny incydent. W pobliskiej wsi, w powiecie hrubieszowskim, gdzie na cmentarzu przykościelnym czekam na dalszy transport, pojawiają się jakieś dwie panie. Starsza zapytuje wartownika, czy może zamienić ze mną parę słów. Żołnierz odsyła kobiety do oficera. Po chwili wracają w towarzystwie lejtnanta, który uprzejmym gestem pozwala na rozmowę i oddala się.

– Jesteśmy ze dworu, dowiedziałyśmy się, że Niemcy trzymają tu polskiego jeńca, więc przyszyliśmy zapytać, czy pan czegoś nie potrzebuje.

Rozmawiam z tymi paniami, jakbyśmy znali się od lat, chociaż nigdy w życiu nie widziałem ani matki – starszej już pani – ani tej młodej, ślicznej blondynki o bardzo polskiej urodzie.

– Przydałby mi się bardzo ciepły sweter. Dostałem się do niewoli w cienkim, połowym drelichu.

Po półgodzinie obie wracają. Młodsza wręcza mi wełniany ciemnogranatowy sweter, a starsza termos z gorącą kawą i wspinałką wałówkę. Dziękuję, jak umiem najserdeczniej, i przedstawiam się. Panie także wymieniają swoje nazwiska. Matka nazywa się Kisielnicka, jest dziedziczką miejscowego majątku. Córka, młoda mężatka Anna Szułdryńska, jak się okazuje żona kolegi z Uniwersytetu Poznańskiego.

Towarzyszyl mi ten sweter przez całą wojnę, we wszystkich wyprawach, niebezpieczeństwach i przygodach. Zrzuciłem go z siebie i spaliłem w ostatnim dniu Powstania, przed opuszczeniem Warszawy, bo był beznadziejnie zawoszony. Zapamiętałem to spotkanie i w latach powojennych odczułem głęboki żal, gdy nazwisko Mieczysława Szułdryńskiego znalazłem na liście wymordowanych jeńców katyńskich. Na tej samej liście figurował Herdegen i wszyscy koledzy, z którymi przyłączyłem się do obrony Uściługu. Dopiero wtedy uprzytomniłem sobie po raz pierwszy, że owej nocy uniknąłem końca w Katyniu tylko dlatego, że dostałem się do niewoli niemieckiej. Tamci w kilka dni później znaleźli się w rękach Rosjan.

W parę minut po rozstaniu się z paniami wieziono mnie dalej. Tym razem już nie samego, ale z kilkudziesięcioma innymi jeńcami szeregowymi i oficerami. Dowiedziałem się od nich, że Niemcy wycofali się z opuszczonego przez naszych i spalonego Uściługu i wrócili z powrotem na zachodni brzeg Bugu. Dlaczego nie poszli na wschód? Dziwię się, tak jak poprzedniego dnia dziwiłem się, że nie ukazał się nad nami ani jeden niemiecki samolot.

Siedemnasty września przyniósł rozwiązanie zagadki. Dowieziono nas na wielki jeniecki punkt zborny na cmentarzu kościelnym w majątku Szeptyckich Łabunie, gdzie zgromadzono już parotysięczny tłum jeńców wziętych w kotle pod Tomaszowem Lubelskim. Niemcy otoczyli tam i rozbili kilka polskich dywizji. Co chwila zwożą nowe grupy naszych. Rycerska sielanka pierwszej linii frontu skończyła się. Nie jesteśmy już w rękach Austriaków. Traktowanie staje się brutalne. Kilku oficerów wermachtu (a może było to już gestapo) zaczyna wyławiać „na oko” Żydów. Omijają starannie oficerów, polują na razie wśród podoficerów i szeregowych. Wyciągają żołnierza o wybitnie semickich rysach i wyprowadzają go przy akompaniamencie krzyków i bicia po twarzy. Z kolei czepiają się jakiegoś podchorążego, który odpowiada hardo po niemiecku, powołując się na konwencję genewską. Błady jak



Skacząc ze spadochronu w trakcie ćwiczeń w angielskiej bazie wojskowej dla cichociemnych, Jan Nowak-Jeziorański złamał rękę, Archiwum Jana Nowaka-Jeziorańskiego, Zakład Narodowy im. Ossolińskich

ściana, pokazuje legitymację, w której podane jest – wyznanie rzymskokatolickie, wyciąga spod koszuli medalik. Dają mu w końcu spokój. Przyglądamy się tym scenom z zaciśniętymi zębami i uczuciem bezsilnej wściekłości.

Późnym popołudniem dochodzą następne grupy. Przywożą nowe wiadomości. Dziś rano Sowieci przekroczyli granicę, posuwają się na Lwów – Baranowicze już zajęte.

W pierwszej chwili następuje radosne ożywienie. Teraz dopiero dojdzie do krachu między Hitlerem i Sowietami. Wszystko może się zmienić. Nowo przybyli wylewają nam jednak z miejsca kubel zimnej wody na głowę. Z komunikatów Moskwy i Berlina wynika, że Armia Czerwona wkroczyła do Polski w porozumieniu z hitlerowskimi Niemcami. Sowieckie radio oznajmiło, że państwo polskie przestało istnieć. Wobec tego Armia Czerwona zajmuje ziemie ukraińskie i białoruskie, które dotychczas należały do Polski. Zalega ponure milczenie, które przerywa jakiś głos za mną.

– Po tych sk... niczego innego nie można się było spodziewać. Zawsze to mówiłem. Tak się musiała skończyć polityka Becka i sanacji.

Obejrzałem się, kto to mówi, i zobaczyłem szczupłego, przystojnego podporucznika o pociągłej twarzy, drobnych, bardzo regularnych rysach, który dotychczas milczał. Dopiero w kilka godzin później dowiedziałem się, że ten oficer rezerwy nazywa się Józef Cyrankiewicz, jest znanym działaczem PPS w Krakowie, aktywnym zwłaszcza wśród studentów Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Cyrankiewicz, którego poznałem bliżej w ciągu następnych dwóch tygodni, niepodobny był zupełnie ani fizycznie, ani pod żadnym innym względem do późniejszego, spasionego jak wieprz współwłaściciela Polski Ludowej. Ten późniejszy Cyrankiewicz tak dalece różnił się od tego, którego poznałem w niewoli, że w latach powojennych podejrzewałem w nim nawet przez jakiś czas Wallenroda, który w sposobnej chwili odegra rolę, jakiej nikt się po nim nie spodziewa.

Liczba jeńców, jaką zgromadzili Niemcy po zamknięciu kotła pod Tomaszowem, przekraczała ich możliwości transportowe i zaopatrzeniowe. Tym więcej, że mosty i tory były przeważnie poniszczone. Z kilkunastu, a może z kilkudziesięciu tysięcy jeńców uformowano olbrzymią kolumnę i skierowano ją pieszo do oddalonego o sto kilometrów Jarosławia. Linia kolejowa Przemyśl-Kraków była bodaj jedyną, która funkcjonowała.

Kolumna była tak długa, że na przodzie nie widać było jej końca. Pilnowały jeńców ciężarówki z karabinami maszynowymi skierowanymi w maszerujących i piesi wartownicy idący dość gęsto po obu stronach drogi. Możliwości ucieczki nie istniały. Niemcy powtarzali, że otworzą ogień do każdego, kto zejdzie z drogi. Przed zapadnięciem zmroku zamykano nas przeważnie, stłoczonych po tysiąc, dwa tysiące ludzi, w kościołach albo budynkach dworskich łatwych do strzeżenia. Ciasnota była taka, że w kościołach spaliśmy głównie w pozycji siedzącej, jak się dało: w ławkach, na kamiennej podłodze, na stopniach ołtarzy. Stosunkowo najwygodniej było w konfesjonalach. Najgorzej było z jedzeniem.

W pierwszym dniu Niemcy zatrzymali kolumnę i pozwalali się rozchodzić w promieniu stu metrów i wykopywać ziemniaki. Wieczorem przywozili bańki z zupą. Rankiem, przed wymarszem, kawę i kilkanaście bochenków chleba. Nie starczyło tego da wszystkim i przy podziale rozgrywały się gorszące sceny. Można się było już wtedy przekonać, do jakiego znikczemnienia potrafi doprowadzić człowieka nie tyle nawet głód, ile sam lęk przed głodem.

Dochodziło do bijatyk o to, kto dostanie w swoje ręce bańkę i bochenki, później bito się o podział wśród przekleństw, wyzwisk i krzyków. Ci, którzy usiłowali zachować odrobinę godności, odchodzili głodni po całodniowym marszu. Oficerowie i podchorążowie, których Niemcy wypuszczali na czoło kolumny po to tylko, by ich lepiej pilnować i oddzielić od żołnierzy, byli w nieco lepszej sytuacji, bo w wioskach czekali przy drodze chłopcy z przygotowanym prowiantem o wtykali nam w ręce, co kto miał: jabłko,

bób, kawałek chleba, papierosa, szklankę wody, parę upieczonych kartofli. Jakaś kobiecina, która nie miała już widocznie niczego do zaoferowania, wsunęła mi do ręki kilka nasturcji. Korzystali z tej pomocy ci, którzy znaleźli się na czele kolumny.

Dla następnym szeregów nie było już nic do rozdania. Niemcy na ogół nie przeszkadzali. Brak prowiantu im także stwarzał poważny problem. Coraz częściej ludzie mdleli z głodu i wyczerpania. Najgorsze było wysłuchiwanie nieustannych złorzeczeń nie tylko na winowajców klęski, ale na cały naród. Ludzi ogarnęła jakaś masochistyczna mania wylewania pomyj na własne społeczeństwo. Wyżsi oficerowie zachowywali się różnie. Pułkownik Szostak kazał natychmiast rozdać wśród otaczających go kilkunastu oficerów i szeregowych kasę pułkową, którą nosił jako adiutant. Rozdzielał równo bez względu na szarżę. Dla siebie nie zatrzymał ani złotówki. Inny pułkownik, którego nazwiska lepiej nie wspominać, niósł przez cały czas ciężką metalową skrzynkę także z pułkowymi pieniędzmi. Nie rozstawał się z nią ani na chwilę, nie pozostawiał w rękach kolegi, nawet gdy udawał się na stronę. W nocy służyła mu za poduszkę, chyba niezbyt wygodną. Musiał mieć ciężkie sny. Pewno doniósł te pieniądze do oflagu.



Obrączki ślubne Jadwigi i Jana z wygrawerowanymi imionami obojga: Janek i Wiśka oraz datą 7.9.1944, kiedy wzięli ślub.

Tak pisał o tym dniu Nowak: "Dwie obrączki miedziane zdobyła »Greta« za puszkę konserw z lotniczego zrzutu. [...]"

Kaplica była pełna. Niemcy siedzieli 300 metrów dalej w Alejach Ujazdowskich. szliśmy do ołtarza po podłodze zasłanej potłuczonym szkłem", Archiwum Jana Nowaka-Jeziorańskiego, Zakład Narodowy im. Ossolińskich

Z inicjatywy Cyrankiewicza i Szostaka doszło do zawarcia pierwszego konspiracyjnego porozumienia. Postanowiliśmy oddziaływać własnym przykładem i słowem na innych, starać się przywrócić morale, jakąś dyscyplinę i godność, reagować ostro na każde słowo obrażające naród, państwo i wojsko. Zmienialiśmy się kolejno przy podziale prowiantu. Każdy rozdający zobowiązywał się, że jego porcja będzie ostatnia i najmniejsza. Żywność otrzymywana od chłopów szła do wspólnej puli i sprawiedliwego podziału.

Rezultaty nie dały na siebie długo czekać. Gdy tylko konspiratorzy zdobyli sobie zaufanie – powrócił jaki taki porządek, przynajmniej w tej grupie, która znalazła się w naszym zasięgu. Ogólny ton nadawali znowu Szostak, major Biały z Krakowa i Cyrankiewicz. Z tym ostatnim szedłem w jednym szeregu. Był raczej małomówny, ale z wymiany zdań i poglądów zdołałem się zorientować, że należy do prawego skrzydła PPS, nastawionego nieufnie do współpracy i wspólnego frontu z komunistami. Przyznał się, że pochodzi z krakowskiej endeckiej rodziny, ale sam od pierwszych lat szkolnych związał się z socjalistami. Nie mówił, jak do nich trafił. Z różnych półsłówek wynikało, że brak udział w organizowaniu strajków robotniczych i zaangażowany był dość głęboko w robocie politycznej.

Po dwóch dniach tego marszu załadowano nas na ciężarówki. Dalszy ciąg drogi aż do Jarosławia odbywaliśmy więc samochodami.

Jeszcze pod Jarosławiem Niemcy zabrali z kolumny płk. Szostaka i dwóch innych oficerów dyplomowanych. Odbyło się to z wielkimi honorami. Przyjechał po nich samochodem jakiś niemiecki generał w asyście dwóch oficerów. Nie mieliśmy więc większych obaw o ich losy. Jakie one były, dowiedziałem się dopiero w kilka miesięcy później. Szostaka i towarzyszy przewieziono samolotem do kwatery gen. Blaskowitza i jego sztabu. Tam pokazano im na mapie dokładne rozmieszczenie wojsk niemieckich pod Warszawą i w kraju. Chodziło o to, by polscy oficerowie mogli przekonać się na własne oczy, że położenie oblężonej stolicy jest beznadziejne. Następnie odstawiono ich na odcinek frontu pod Warszawę – nie pamiętam już, w pobliżu Woli czy Pragi – i zapewniono bezpieczne dojście do polskich linii.

Szostak i towarzysze zachowali się, jak im nakazywał regulamin wojskowy. Zameldowali się u gen. Czumy, złożyli meldunek ze wszystkiego, co widzieli i słyszeli, bez żadnego własnego komentarza, po czym poprosili o natychmiastowy przydział i skierowanie na linię frontu. Szostak poprosił także o pozwolenie odwiedzenia w szpitalu żony, która – jak się dowiedział – została ciężko ranna w czasie jednego z nalotów. Pozwolenie dostał, ale do szpitala nie zdołał dotrzeć. Zginął na drodze, trafiony niemiecką bombą, w czasie nalotu w dniu 25 września.

Tymczasem w Jarosławiu załadowano nas do bydłych wagonów pociągu kilometrowej długości. Zauważyliśmy, że konwój niemiecki jest dobrze uzbrojony, ale liczebnie słaby. Na stacjach jeńcy pod strażą konwojentów roznosili kubły wody do picia i chleb. Ponieważ zamykanie i otwieranie za każdym razem drzwi wagonów zabierało za dużo czasu, zostawiano je otwarte. Na każdym co piętnastym czy dwudziestym wagonie ustawione były po obu stronach cekaemy. Powtarzano często ostrzeżenie, że konwojenci otworzą bez uprzedzenia ogień w razie jakiegokolwiek próby ucieczki.

Po północy minęliśmy Tarnów. Zaległa gęsta mgła i zupełne ciemności. Pociąg zwolnił do 35 km na godzinę. Jeden z nas rzucił myśl ucieczki. Gdy nastanie dzień i minimy granicę Rzeszy, będzie za późno. W wagonie zapanowało z miejsca ożywienie.

Opinie były podzielone. Jedni chcieli uciekać natychmiast, inni uważali, że ryzyko jest zbyt wielkie. Ktoś zwrócił uwagę, że jesteśmy przecież w mundurach. Nie wiadomo, czy w okolicy nie ma jakichś oddziałów niemieckich. Konwój dysponuje dostateczną siłą ognia, by nas wszystkich wystrzelać, nawet jeśli cekaemy będą kosiły na ślepo.

– Trzeba poczekać, aż zbliżymy się do Krakowa – odezwał się Cyrankiewicz. – Ja tam znam taką osadę robotniczą niedaleko torów kolejowych: Łagiewniki. Oni nas na pewno schowają i dadzą cywilne obrania.

Wyłoniła się z miejsca grupa, zdecydowanych skakać z pociągu pod Łagiewnikami. Wśród kilkunastu zdecydowanych na ucieczkę zapamiętałem sobie nazwisko mjr. Białego z Krakowa, młodego lekarza Jana Romanowicza i Józefa Cyrankiewicza.

Zbliżamy się do Krakowa. W mgle i w ciemnościach trudno się zorientować, gdzie dokładnie jesteśmy.  
– Zdaje się, że to tu – odzywa się Cyrankiewicz.

Zaczynamy! Już przedtem wylosowaliśmy kolejność. Jestem trzeci. Musimy skakać jeden po drugim, bardzo szybko, by zmniejszyć niebezpieczeństwo dla następnych. Lecę ukosem i – bum! Uderzyłem mocno całym ciałem w pochyły nasyp, staczam się w dół, zrywam się natychmiast na równe nogi i pędzę przed siebie co tchu w piersiach. Co chwila potykam się i przewracam o jakieś krzaki... Ubiegłem sto metrów, gdy zaczynają terkotać cekaemy, jeden... drugi... trzeci. Rzut oka za siebie. Na szczęście pociąg nie tylko się nie zatrzymał, ale mocno przyspieszył. A więc nie będzie pościgu. Pędzę

dalej, obok słyszę kroki i oddechy kolegów.

Dolatujemy do zabudowań. Ludzie zbudzeni strzelaniną wyglądają przez okna. Wpadam do pierwszej sieni. Nie mogę złapać tchu, wydobywam z siebie tylko pojedyncze słowa: – Niemcy... uciekliśmy z pociągu. Pokazuję za siebie – w kierunku, skąd dochodzą jeszcze oddalające się długie serie cekaemów. Jakaś potężna, stara baba w koszuli i w kaftanie bez słowa wpycha mnie do izby i do ciepłego łóżka, nakrywa olbrzymią pierzyną. Po chwili mam na sobie potworny ciężar. Czuję, że się duszę, ale nie mogę spod pierzyny wołać: ratunku! Usiłuję ruszyć się, ale ciężar – chyba ponad sto kilogramów – nie pozwala. Przez kilkanaście minut z największym trudem łapię oddech. Przygniata mnie pierzyna, poduszka i właścicielka łóża. Po kilkunastu minutach widocznie doszła do wniosku, że niebezpieczeństwo minęło. Straszliwy ciężar ustępuje. Wydobywam się spod pierzyny, siadam na łóżku. Przede mną – wpatrzona we mnie cała rodzina.

– Dziękuję bardzo – wykrztusiłem, z ulgą biorąc głęboki wdech. Ufff, udało się”.

Opracował: Mateusz Palka

Niektóre fragmenty tekstu opublikowane zostały w: Urbanek M., Preisner-Stokłosa M, Palka M. (red.), *"Misja: Polska"*. Jan Nowak-Jeziorański, Władysław Bartoszewski. Katalog wystawy stałej Muzeum Pana Tadeusza Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Ossolineum, Wrocław 2018.

Gabinet Jana i Jadwigi Nowak-Jeziorańskich  
Gabinety Świadców Historii  
w Muzeum Pana Tadeusza  
Zakładu Narodowego im. Ossolińskich



Z żoną w Londynie wiosną 1945 roku.  
"[...] nad Nowakiem zaś unosiła się całkiem zasłużona aura bohaterskich wyczynów, choć tej aury wcale nie podkreślał; ani on, ani jego żona nie wspominali o swych wojennych przeżyciach. Wiedziałem o nich, ale nie od nich" - wspominał Marek Rudzki, Archiwum Jana Nowaka-Jeziorańskiego, Zakład Narodowy im. Ossolińskich